

PASAZEROWIE

Nie można zrozumieć, czego domaga się grzmiący echem przez poczekalnie i perony megafon. Duża wskazówka na tarczy dworcowego zegara dobiega do piątki, dyżurny władca w czerwonej czapce podnosi do góry zielone berło, rozkaz ten powtarzają konduktorzy machając chorągiewkami i żelazny robot spluwając kłębami dymu rusza do pracy, ciągnąc za sobą drużynę: osiem brudno zielonych wagonów.

Każdy z drużyny ma swoje przeznaczenie: za węglarką su nie brankart, mózg zespołu, spoza szybek nadbudówki wygląda twarz kierownika pociągu, na innych widnieją tablice: „Poznań—Wągrowiec”. „Przedział dla matek z dziećmi do lat czterech”, „Wagon dla młodzieży szkolnej”.

Obowiązują pierwsze dwie:



Fot. K. Przychodzki

pociąg rzeczywiście jedzie do Wągrowca; w przedziale dla matek siedzą nie tylko matki, również tacy, którzy aktualnie nie wspólnego z dziećmi nie mają, oraz dzieci: siusiaki w pieluchach, siusiaki w majtki, depczące wszelkie przyjęte prawa i zwyczaje, jak również samych dorosłych po nogach.

W wagonie z tablicą „dla młodzieży szkolnej” zasiedli ogorzali mężczyźni w tanich drelach i welwetach. Część różnie w karty: w „chlusta”, w „oko”, w „sześćdziesiąt sześć”, w „tysiąc”; część drzemie lub zacięcie dyskutuje z sąsiadami. Prawie wszyscy posiadają pracownicze bilety miesięczne, czyli prawo do nieograniczonej ilości przejazdów w obrębie wyznaczonego odcinka linii kolejowej. Wielu z nich zimą z braku opału w domu lub po prostu z braku zajęcia jeździło podmiejskimi pociągami w tę i z powrotem, w tę i z powrotem przez kilka godzin dziennie: dyskutowali, grali w karty, czasem przy porzuconej potem gdzieś w kacie przedziału ćwiartce „czerwonej”.

Pozostałe wagony zabrały z peronu zwykłych pasażerów: do pracy, do domu, do rodziny, do znajomych. Moja sąsiadka wraca z zakupów — jeździła do Poznania po nylonową chustkę na głowę. Bilety kolejowe są takie tanie, że się opłaci.

— Iiii!... — gwizdem dodaje sobie otuchy dowódca — parowóz.

— Dudu — dudu, dud — dud! — wtóruje mu na zwrot nicak drużyna...

Na stacji w Dębcu wsiada rewizor, lekarz naszej drużyny. Ze szczypcami — dziurkaczem, ze szkłem powiększającym w kieszeni będzie badał, opukiwał, oglądał jej zawartość. Uwaga, ścisła kontrola biletów!

Pasażerowie przyzwyczajeni są do takich wizyt, ale witają je niechętnie. „Łapacz” — szemrze wagon. Wokół nieprzychylnie spojrzania.

— Czy panu płać premię od każdego złapanego? — mruczy pani, która jechała do Poznania po chustkę.

— Rzeczywiście, czy panu płać premię? — pytam w chwilę potem.

— Nie, nie płać. Jak każdy pracownik kolei mam tylko pensję.

Nasz rewizor lubi swój zawód. Z przejęciem, ba — z satysfakcją opowiada o swoich bezbiletowych klientach.

Z satysfakcją?

— Tak, w tym wypadku, gdy pasażer stara się oszukać, wykiwać kolej. Takie podejście jest z mojego punktu widzenia przestępstwem. Czasem jednak sprawa przedstawia się inaczej: odróżnienie konfliktu z przepisami nieumyślnego od zamierzonego, wymaga znajomości człowieka. Ileż to razy przymrużam oko na podróżnego, gdy sam uczciwie zgłosi bezbiletowy przejazd, gdy wyjaśni notywy...

Dlaczego, panie podróżny, ma pan tak niepewną minę?

W środku, niby wyimaginowana bariera, niewielki kartonowy bilecik. Po obu stronach dwóch ludzi: pan, panie podróżny, z uwagą wpatrzony w twarz rewizora, i pan, panie rewizorze, najwyraźniej weszły jakiś kant. Obaj panowie gorączkowo rozmyślają: „spójrzcie czy nie?” „oszukał, czy nie?”.

„Zaraz do pana wrócę, na razie bilet zatrzymam” — mówi rewizor. Bilet, legitymacja, bilet, dowód — następna porcja badanych.

„Czemu zatrzymał pan tamten bilet — pytamy.

— „Sfalszowany, o proszę, niech pan spojrzy, to jest bilet ubiegłoroczny, siódmąk przeobronę na ósemkę”.

Wpatrujemy się w brązowy kartonik, doprawdy, trudno zauważyć, ale rzeczywiście, spod ósemki wygląda ogonek innej cyfry.

— „Nie powiedziałem mu tego od razu, niech przemyśli całą sprawę, niech zastanowi się nad postępkami. Jeśli zacząłby od razu kłamać, trzymałby się kłamstwa do końca niepotrzebnie, w ten sposób zaś mam prawie pewność, że zrozumie błąd i przyzna się...”

Kto by pomyślał, że psychologia jest dziedziną, którą rewizor musi operować na co dzień w swej pracy.

Wracamy do tamtego pasażera. Rzeczywiście:

— „Sfalszowałem” — mówi. Rewizor oblicza:

— Pan

— Pięci pan trzysta dwadzieścia cztery złote.

Nowy bilet miesięczny kosztuje 25 zł.

Ponad 55 tysięcy podróżnych bez biletów wykryto w ciągu 1957 roku tylko na terenie DOKP Poznań. Obliczenia wykazują, że w ciągu pierwszego kwartału br. ilość nieprawnych przejazdów wyniosła ok. 100 tysięcy! Z tego wykryto 17.700. Cyfry doprawdy... imponujące. Wybaczcie, że używamy tego określenia. Milionowe straty obciążają i bez tego deficytowe przewozy pasażerskie, a cyfry dotyczące okręgu poznańskiego mniejsze są niż ich odpowiedniki w Warszawie, Katowicach, na Wybrzeżu. Dokładne dane znaleźć można w Roczniku Statystycznym. Niestety, nie umieszczono ich w rubryce „kradzieże”.

Organizujemy do spółki z

Andrzej BAJKOWSKI

(Ciąg dalszy na str. 2)



Ten ołtarz jest nam bardzo znany. No, oczywiście — Wit Stwos! Zaraz, zaraz... Ale dlaczego z okazji Wielkopolskich Dni Opieki nad Zabytkami pokazujemy nam Kraków? A, właśnie! Ta scena „Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny” nie pochodzi z Krakowa, lecz z... Koźmina (pow. Krotoszyński), z głównego ołtarza kościoła pod wezwaniem św. Wawrzyńca.

Oto Rydzyna (pow. Leszno) — miasto muzeum, jak ją niektórzy nazywają. Każdy dom jest tu zabytkiem — zabytkiem niestety zrujnowanym. Większość takich uroczych — jak te — kamieniczek ma wypalone wnętrza; stoją tylko, przykryte dachem, ściany. Ostatnio Rydzyna zainteresowała się Komisja Planowania Gospodarczego z Warszawy. Mówi się o urządzaniu w zamku (130 pokoi + oficyny) sanatorium lub szkoły z internatem. Miejmy nadzieję, że projekty te odbiją się jakimś konkretnym echem w planach inwestycyjnych.

(wan)
Fot. Z. Ratajczak

STANISŁAW BĄKOWSKI

Z grona pisarzy i poetów polu. W okresie tym wydał 10 znających ubył ostatnio jeden, którego imię w 20-leciu było znane i cenione.

Stanisław Bąkowski urodził się w r. 1889 w Baranowie w pow. san domierskim. Skończył gimnazjum św. Anny w Krakowie i tamże wydział prawny na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskując stopień doktora. Zamiłowania skierował go na historię sztuki do Monachium, a wymagania życiowe potem na Handelshochschule w Berlinie. Z pasją i łatwością poznawał języki obce. Opanował ich 10.

Jego dość obfity dorobek pisarski zamyka się w 20 le-

ciomików poezji, liryków i poematów większych. Spośród bardziej znanych wymienić można: „Rytmy wędrowca” (Poznań 1926), „Gawędy z Panem” (Kraków 1927), „Oczy godzin” (Poznań 1927), „Śmierć Adama” (Poznań 1929), „Konic Antychrysta” (Poznań 1939), „Ku przełęcz” (Poznań 1933). Tłumaczył także drobne liryki z czeskiego, serbskiego i norweskiego. Poniżej zamieszczamy jeden z wierszy St. Bąkowskiego.

(A. Ł.)

Wczesna jazda do pracy

Księżyc się rozmarzył na umór — dla niego jeszcze — noc.

Dla nas, do pracy spieszących tłumów, jawa w mroku lśni, jak w wodzie szkło.

Niech nas niosą dzwiczące tramwaje dziś, przez ranka srebrne urodzaje. Jutro, może rozmiękła śnieżyca pocięra o nas mokre łapy, — pojutrze może do tańca szarpał nas będzie wicher lodowaty,

Do nas należy świat! Nie zawróci z nas nikt, byle zdrowy.

Czy nas księżyc próbuje zwodzić, czy nas burze chłosczyć, czy zawieje czy też słońce na nas ogień leje albo z nas ducha chce wydrzeć mróz, — my, mężowie i junacy i starzy, mózgiem młodzi, a wszyscy żołnierze pracy, wyznajemy jej mus twardej i radosny, z którego — wszechwładę fundamenty i bytu społecznego utwierdzenie i wewnątrz spokój uśmiechnięty i mocne, poza granice spojrzenia!



Niedaleko Zbąszynia

Nikt z nas nie będzie na prawdziwym starym wiejskim weselu. Nie zobaczymy, jak goście na ziamanie karku pędzą z kościoła do domu, jak pod kołami powózki z młodą parą pęka szkło na drobne kawałki, wróżąc szczęście, i jak wszyscy baczą, czy czasem świnia nie przeleci drogi przed orszakiem — co wróży zamożność młodemu małżeństwu.

Nie będziemy także świadkami popisu sprawności gości, darskiej młodych państwa. On macha cepami, ona musi usiąść przy kołowrotku. Po tradycyjnych ceremoniach młodzi wchodzi do izby. Kozły grają jak najęte, wtóruje im klarinet i przypiękają skrzypki. Hej — a jaki taniec! Świeci w złoconych ramach ruszają się po ścianach, wiatr goni 7-metrowe spódnice! A przyspiewki!

Odeszły stare zwyczaje. Można tylko opisać ich żywot i „fizjonomię”, a i to trudno przychodzi. Zmylił je nowy

rytm, nowy taniec, zagłuszyła nowa zgiekliwa muzyka.

Parę tylko wesel u nas pozostało, jako wspomnienie dawnych obyczajów i obrzędów wiejskich. Jedno — szamotulskie, drugie — zakrzewskie spod Rawicza i trzecie — zbąszyńskie, a dokładniej przyprostynskie, bo tam je „zabezpieczono”. Kto się tym zaję?

Najbardziej do tego był uprawniony zakład etnografii Uniwersytetu Poznańskiego. Procesem odchodzenia jednej kultury, a zwyciężania nowej — nie zajęli się także socjologowie. Tak został zmarnowany dla obu dyscyplin naukowych ważny i jedyny swego rodzaju proces kulturalny.

Dziedzina tę, na szczęście, zajęli się nauczyciele. Nie tylko Jan Bzdega na Biskupim, ale i szamotulscy i zbąszyńscy. Zajmijmy się bliżej tym ostatnim regionem.

Parę lat przed wojną na rejonowej konferencji nauczycielskiej w Łomnicy nauczyciele postano-

will ratować zabytki kultury ludowej. Postanowienie to łączyło się z chęcią zorganizowania Muzeum Regionalnego. Małżeństwo Przybylski zainicjowało się o meble, Jan Żołądkiewicz dał kolekcję miejscowych ptaków, Antonina Woźna zabrała się do zbierania pieśni, zwyczajów itd. A całością prac kierowała trójka: Jan Tomiński, J. Kapeleczuk i wspomniana Antonina Woźna. W roku 1933 muzeum mogło już być otwarte.

Wówczas też zostało uratowane „wesele przyprostynskie”. Trzeba było bowiem na otwarcie tej regionalnej placówki wystawić coś związanego z okolicą. Antonina Woźna w oparciu o zebrany folklor zmontowała 6 fragmentów wesela. Przedstawienie spodobało się. Dziś „Wesela przyprostynskie” zna już Warszawa, Poznań, Zielona Góra, kilka razy oglądał je Zbąszyń. Ba — nawet amerykańska telewizja nakręciła je na swoje taśmy, by naszą egzotykę pokazać swoim znudzonym odbiorcom.

Poschodach schudnego Ogniska Muzycznego w Zbąszyniu, które ostatnio zaważowało do rangi Szkoły Muzycznej, pnie się na poddasze. Tu w jednym z pokoiów mieści się klasa gry na jednym z najstarszych instrumentów ludowych — na kozle.

Na ścianie widzę ich chyba z 10 sztuk. Miech zrobiony z kozłowej skóry (są i różki) zamiast „gęby” — piszczałka z przebiegką. Kozły tym się różnią od dud, że mają tonację niższą. Ale nie w tym sensacja. Oto na tym spotponowanym, wyśmianym przez snobów instrumencie uczą się grać — chłopcy: 14-letni Heniek Matysiak i 13-letni Andrzejek Wachowski. Andrzejek Gruszczyński, najmłodszy z terminatorów, próbuje na siesienkach (to instrument prymitywniejszy od kozła), obecność gości onieśmiela go i myli piosenkę.

Zejdźmy niżej do gabinetu dyrektora p. Janiszewskiego. Nauczyciel kozłarzy p. Tomasz Śliwa wielu już nauczył tej sztuki. W tej chwili ma 19 uczniów. Uczy fachowo, zaczynając od znajomości muzycznych znaków pisarskich. Spód jego ręki nie wychodzi więc „muzykant z kapelusza”.

Tomasz Śliwa, jeszcze jako mały chłopiec słuchał kozłarzy pod oknami weselnych chat. Pasąc gęsi próbował już grać na mazankach. Raz weselnicy wciągnęli go do izby, musiał zagrać z bratem — kozłarzem. I zagrał i to jeszcze jak! Po mazankach zabrał się do kozła. Sam go sobie zrobił.

W Ognisku, które liczy 260 uczniów, ludowa kapela (34) brzmi jakoś dziwnie, niewspółcześnie. Czy warto wszelkimi siłami ratować tę starą muzykę od powolnej śmierci? Czy trud chłopców zbąszyńskich i Tomasza Śliwy nie jest jakąś wielką pomyłką?



Weselnicy przyprostynscy

Fot. L. Budziński

W TEATRACH ŁODZI

Już nie tylko o Teatrze Nowym pisze krajowa prasa literacka, chociaż w dalszym ciągu teatr Dejma jest największą chlubą Łodzi i powszechnie zaliczany jest do czołowych teatrów w Polsce. Teatr, który ma w swoim repertuarze tak znakomite spektakle jak „Noc listopadowa” czy „Święto Winkelfrida” rzeczywiście zastępuje na to wyróżnienie. Niestłumionym powodzeniem cieszy się uroczysty „Kram z piosenkami”, który osiągnął już ponad sto przedstawień przy kompletach widowni. Podobnie „Ciemności kryją ziemię” Andrzeja Gruszczyńskiego nie schodzą z sceny przez ponad sześć miesięcy. W repertuarze „Wizyte starszej pani” Dürrenmatta i „Ich czworo” Zapolskiej.

Ożywioną działalność rozwija też scena kameralna Teatru Nowego. Po bardzo ciekawym „Domu Kobiet” Nałkowskiej wystawiono „Szopkę polityczną” p. Ryszarda Marka. Było to świetnie napisane i niemiennie dobrze wystawione małe widowisko satyryczne, które spotkało się z dużym zainteresowaniem łódzkiej teatromanów. W połowie kwietnia Teatr Nowy wyjeżdża w ramach wymiany z Serbskim Teatrem Narodowym z Nowego Sadu na gościnne występy do Jugosławii. Jakże będzie przyjęcie, zobaczymy. W każdym bądź razie to dobrze, że Jugosłowianie zapoznają się z pracą naszego awangardowego teatru.

W Teatrze im. Jaracza po dwóch „niewypalonych” („Złota wieża” Swinarskiego i „Emilia Galotti” Les singa) trzecia w tym sezonie premiera była sukcesem reżyserskim Aleksandra Bardinięgo. „Henryk IV” Szekspira to spektakl zaskakujący na wielkie uznanie. Przyczyniła się do tego dobór obsady aktorskiej — Lapiński, Walczak Szalawski, Benoit i inni. Niebawem odbędzie się premiera „Wesela” w reżyserii S. Domańskiego i inscenizacji Jana Kosińskiego.

Nowo mianowany dyrektor Teatru Powszechnego Zbigniew Koczanowicz bardzo energicznie zabrał się do pracy w powierzonym sobie teatrze. Do chwili obecnej teatr ten dał cztery premiery, a do końca sezonu przewidzianych jest jeszcze trzy — „Wiele hałasu o nic”, „Pamiętnik Anny Frank” i „Czarująca szewcowa”. Każdy nowy spektakl tego teatru jest coraz ciekawszy i niewątpliwie do końca sezonu zepół ten ostatecznie okrzepnie. Ostatnie dwa przedstawienia — „Don Juan odwieczny wędrowiec” Rittnera w reżyserii Adama Daniewicza i „Achilles i panny” w reżyserii J. Koczanowicza wyraźnie na to wskazują.

Od niedawna Łódź przybyła nowa placówka teatralna. Jest nią „Teatr 7,15”, którego dyrektorem



(Dokończenie ze strony 1)

reżyserem eksperyment: w biegu przesiadam się do sąsiedniego wagonu, przechodzę z przestraszoną miną i rozwia-

Jubilat

Było to bardzo dawno temu, bo w r. 1890, tzn. jeszcze wtedy, gdy zamiast „Zamku z salą tronową Ojców Miasta” była tylko Brama Berlińska, tramwaj konny kulał się z dworca na Stary Rynek, a na wprost wylotu ul. Lampego, w małym parterowym domku pobierano opłatę celną od wszelkiego mięsiva przywożonego do miasta.

W tych to dawnych, dobrych czasach przybył z Łekna do Poznania mały 6-letni Kazio. Przybył „do szkół”. Jak zawsze z zegarkiem w niezgodzie, przy był na egzamin wstępny nie w porę — tym razem o godzinę za wcześnie. Pilotujący go wujaszek zaproponował więc spacer Drogą Dębińską. Gdy wracali, przebiegli im przez drogę zając. Wróżba była pomyslna, zając przeleciał z prawej ku lewej stronie — i Kazio został gimnazjalistą w „Marynce”, co to mieściła się przy Placu Bernardyńskim naprzeciw „Piekła”.

Był indywidualnością od najdawniejszych swych wiosen. Najpierw przez całe życie w ogóle był do „wszystkiego za młody”, a potem — ni stąd ni zowąd — już z naszych dni okazuje się „za stary”. Normalnego wieku nigdy nie osiągnął, przynajmniej według utrzymywanych zawiśniętych kolegów.

Dość, że gdy chadzał do „seksy”, pewnego dnia, około południa znużony był do szkoły na ostatniej lekcji. Otrzymał dyspensę od znanego katechety „Janitera” ruszył lekkim krokiem w daleki świat, ku boisku i miejscu odosobnienia. Lecz diabeł nie śpi! Już w głównym hallu zjawiała się przed nim pokusa, wcielona w okazywały dzwon. „Elektryki” jeszcze wtedy w budzie nie mieli. Kazio pociągnął za uchwyt i radośnie zabimbął. A że była to ostatnia już lekcja, więc nie było siły, która by zwróciła naród uczniowski do klas i cała banda poszła bez mała pół godziny za wcześnie do domu... Katecheta uśmieł się serdecznie, za to wychowawca nieco okólnie wypisał w pamięci grzesznika sentencję: „Das ist nicht deines Amtes!”.

Przyznać trzeba, iż zajmowanie się sprawami, które nie były „seines Amtes”, pozostało Kaziowi na całe życie. Stale też dzwonił na alarm, co oczywiście nie budziło uznania u biurokratów, filistrów i peku-niarzy.

W latach 1900—1903 zajmuje się publicystyką, pisze artykuły z dziedziny sztuki i literatury w

„ultramontańskim” jeszcze wówczas Kurjerze Poznańskim i Gońcu Wielkopolskim. Przez dwa lata pisuje recenzje teatralne w „Gońcu” pod pseudonimem Kazimierza Rdzawicza, irytując i intrygując zainteresowanych. Trzema artykułami „O potrzebie Salonu Sztuki w Poznaniu” (Kurjer Poznański) powołuje Dominika Jeżewskiego do zorganizowania Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Sam w tej pracy organizacyjnej nie mógł brać udziału, jako gimnazjalista — zresztą „był zawsze za młody”!

Z publicystyki nie wyszedł nasz Jubilat do dziś, z pracy społecznej tudzież. W latach 1903—1908 studiował architekturę (Charlottenburg, Stuttgart). A ponieważ u niego zawsze musiało być inaczej aniżeli u innych, więc jakoś się tam rozminął z immatrykulacją i nie składał Magnificencji przyrzeczenia, iż nie będzie pracował w organizacjach polskich. Toteż



pełno go było wszędzie: był 20-letnim redaktorem naczelnym dziennika, założył kółko literackie w Charlottenburgu, prowadził tajne nauczanie języka polskiego w Berlinie, przemawiał w Towarzystwie Rzemieślniczym berlińskiej Polonii, podpada wtedy policji niemieckiej; jeździ do Genewy składać hold sędziemu T. T. Jezowi, znowu i znowu chodzi za nim pruska policja; zaczyna pracę jako felietonista w odnowionym już Kurjerze Poznańskim, praktykuje jako architekt w Krakowie (dyplom uzyskuje 15. maja 1908 r.). Za projekt Domu Kultury w Wilnie otrzymuje II nagrodę (1910).

Pracuje i buduje! Dosłownie i w przenośni. W Poznaniu zakłada Stow. Architektów (1919), jest naczelnikiem wydziału szkół zawodowych i szefem departamentu kultury i sztuki w ministerstwie b. Dzielnicy Pruskiej. Jego dziełem jest Państw. Szkoła Sztuk Zdobn. i Państw. Konserwatorium w Poznaniu (wspólnie z ks. prof. Dettlofem) oraz Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu (wspólnie z prof. Kostrzewskim i ks. prof. Dettlofem).

Nie ustaje też w pracy gdy przenosi się do Bydgoszczy (jest dyrektorem Szkoły Przem. Artystycznej, organizatorem Klubu Inteligencji, Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, znanym felietonistą „Alojzym Pieniążkiem”).

Gdy zostaje członkiem magistratu m. Torunia i radcą budownictwa (1925—1937) znowu pracuje społecznie i buduje — pomniki, hale wystawowe, budynki publiczne i mieszkalne, kościoły.

Jeszcze trwają walki o Poznań w roku 1945, a już pracuje w Wydziale Kultury i Sztuki, organizuje, wyklada. Szkoła Inżynierska, Politechnika, TWP, „Czytelnik”, Tow. Mił. m. Poznania. Piszcie rozprawy naukowe i artykuły z zakresu historii architektury.

Trzeba skończyć jednak z tym wymienianiem, bo jeszcze mu kto figla splota i jaki order czy odznakę przyzna — przecież przez cały swój pracowity żywot udało mu się tego uniknąć.

* * *

I jeszcze jedno wspomnienie. Nawet wtedy gdy chciał komuś dokuczyć to mu się nie udawało. Jeszcze w Marynce będąc, miał w imieniu kolektywu pawianów sztychować przemówieniem pożegnać prof. Waltera. Jednego z tych zacych a miękich nauczycieli co to nie mogą opanować żadnej klasy. Jak co roku przenosili go do innej szkoły. Kazio zaczął tonem serio, by zniwacka uderzyć złośliwością w toku przemówienia. W tym momencie zauważył, że po twarzy nauczyciela spływają łzy — nikt i nigdzie nie żegnał go, nieporadnego profesora. I Kazio dokończył przemówienie najbardziej poważnie, ku największej zresztą dezaprobacie kumpli. Do dziś dnia — po 60 latach — z łękiem wspomina tę chwilę, kiedy to mógł w bez-trosce sztabackiej skrzywdzić człowieka. Pocięchą dla niego jest przekonanie, że wzruszenie pedagoga rozgrzeszyło ciętą intencję.

Takim to był zawsze Kazimierz Ulatowski, inżynier — architekt, humanista, wychowawca, społecznik, gawędziarz i 75-letni ciągle młody gentleman! To mu wypominamy w 50-lecie pracy zawodowej!

Andrzej BAJKOWSKI

Wiktor TUTEJSZY



Jedną z najstarszych mieszkanki Przyprostyni Wiktoria Ślusarzewska jest znaną i cenioną hafciarką. W ręce trzyma czepec haftowany według wzoru własnego pomysłu. Opiekuje się nią Wojewódzki Wydział Kultury.

Fot. (2) K. Przychodźki

Z pewnością przeciwstawia się modzie na „miejską muzykę”, która to moda wygląda na wsi nieco pociesznie — jak przysłowiowy kwiatek przy kozuchu. Wracając do kultury wiejskiej, wygrzebuje z niej nie spopielone jeszcze resztki, rozdmuchuje je, by blaskiem ich cieszyć wzrok i słuch, przemieniać je i przekształcać od nowa. Z drugiej strony daje młodym wiejskim artystom możliwość ujawnienia swych talentów poprzez instrument naprawdę ludowy.

Dlatego też to, co robi Przyprostynia i Ognisko Muzyczne w Zbąszyniu — zasługuje na specjalną opiekę i uznanie.

J. PIEPRZYK



Tomasz Śliwa ze swymi uczniami

PASAŻEROWIE

nym włosem (tak właśnie powinien wyglądać pasażer na gapę umykający przed kontrolą) między zaskoczonymi moim zjawieniem się pasażerami i chowam w ostatnim przedziale.

W chwilę potem nasz rewizor w asyście swojego „bilety do kontroli” wypytuje:

— Czy państwo widzieli takiego to a takiego, musiał tędy przechodzić?

Nie, skądże, nie widzieli nikogo.

— Proszę przygotować bilety razem z legitymacjami.

Legitymacja milicyjna: „nie widziałem”. Legitymacja Wydziału Oświaty: „czytałem książkę”. Legitymacja kolejowa: „nie zauważyłem”.

Mogę odetchnąć swobodnie, pasażerowie nie wydadzą. „Rewizor — twój wróg”. Wyobrażam sobie takie tabliczki obok „Nie wchylać się”, „Hammulec bezpieczeństwa”, „Miejsce dla inwalidów”.

„Re-wi-zpr — twój — wróg” — wystukuje pociąg. W wagonie dla młodzieży szkolnej asem przebili damę, w wagonie z zielonym paskiem dzieciak nasusiał do pieluszek, na korytarzu młoda dziewczyna zakończyła przygodną znajomość: „ty chamlie”, dudu — dudu, dudu — dudu...

Razem z rewizorem układamy podręcznik dla amatorów podróży na gapę.

Sposób pierwszy — szukamy odpowiedniej nazwy — już mamy! nieprzyzwoity. Ucieczka do samotności w małym pomieszczeniu na końcu lub w środku (zależnie od budowy) wagonu. Tam należy przecze-kać niepożądaną kontrolę. Siła emocji równoważy siłę zapa-chu.

Sposób drugi — gimnastyczny, dla ludzi o mocnych nerwach. Poprzez stopnie a czasem dachy byle dalej od rewizora. Sposób o tyle niewygodny, że człowiek się brudzi,

a i tak prędzej czy później złapią. (Patrz foto)

Sposób trzeci — kryminalny. Fałszowanie legitymacji lub biletów. Przedłuża się (np. legitymację studencką) pięciogroszówką, zapominając, że głowa orla na takiej „pieczęci” odwrócona jest w przeciwną od normalnej stronę.

Sposób czwarty, piąty, szósty itd. — do wyboru, według własnej fantazji amatorów. Całość podręcznika tytułujemy — tak, tak, panie podróżny — „Dla naiwniaków i oszustów”.

Dudu — dudu, hałasują wagony, kto chce niech korzysta prosimy bardzo.

Lekarz-rewizor kończy wizytę. Diagnoza jak zwykle: dwa nowotwory złośliwe. „Prosimy do dyżurnego”. Protokoły, podpisy. Za miesiąc rachunek: dwukrotna cena przejazdu od stacji początkowej plus 30 zł kary. Jeśli sfałszował pan legitymację, panie podróżny, sprawa pójdzie do prokuratora.

Dudu, dudu proszę bilety do kontroli, dziękuję, dziękuję, jedziemy szukać następnych.

Nowości

z kraju i ze świata

MÓZG ELEKTRONOWY przypomina mózg ludzki nie tylko swoimi zdolnościami, lecz także pewnymi niedomaganiem. Uczni, posługujący się pracą elektronicznych mózgów stwierdzili, iż wykazują one niekiedy objawy przemęczenia, zupełnie podobne do objawów, występujących u pracującego człowieka.

Dr Shannon w paryskim „Atomes” przytacza np. następującą ciekawą historię: podczas ostatniej wojny światowej olbrzymi mózg elektroniczny — centrala telefoniczna w Manhattanie był ogromnie przeciążony pracą. Po pewnym czasie za czął coraz częściej popełniać błędy, zupełnie podobne do tych, które dokonuje człowiek chory na schizofrenię. Żadne badania inżynierskie nie dały rezultatów. Kiedy po wojnie natężenie pracy osłabło — mózg elektroniczny sam „wyzdrowiał”. Być może, iż — jak człowiek — cierpiał na... depresję nerwową?

UCZENI BIAŁORUSCY opracowali sposób otrzymywania wosku z torfu. Miał torfowy zalewa się specjalną mieszkanką benzynową. Otrzymany tą drogą bitum (smola ziemna) zawiera 56 proc. wosku. Ostatnią fazą produkcji jest oczyszczanie wosku z domieszek. Wosk, artykuł niesłychanie deficytowy, znajduje zastosowanie w wielu gałęziach przemysłu — papierniczym, skórzanym, perfumeryjnym, przede wszystkim zaś w metalurgii (odlewnictwo).

LATA NADZIEI

Maszerują chłopcy, maszerują
Młodość idzie z nimi w świat...

Słyszysz się niekiedy dzisiaj na wycieczkach i obozach tę melodię. Brzmi tak samo, jak kilkanaście lat temu, kiedy śpiewali ją partyzanci Gwardii Ludowej i żołnierze I Polskiej Dywizji. Brzmi tak samo, choć dla wielu z nich — jak dla „Małego Franka” (Zubrzyckiego) — młodość kończyła się wraz z pierwszą krwawą potyczką z okupantem...

Wspominamy tamte dni nie tylko ze względów rocznicowych (15.V.1942 — Wymarsz pierwszego oddziału Gwardii Ludowej do walki przeciw hitlerowcom; 14.V.1943 — Utworzenie w ZSRR Pierwszej Dywizji im. T. Kościuszki). Wspominamy dlatego, że ludzie skłonni przykładać dzisiaj do walki Gwardzistów i Kościuszkowców mit narodowego bohaterstwa, zapominają, jak

gorąco pragnęli oni dnia codziennego ojczyzny, zwykłej dla niej pracy. O tej ojczyźnie dalekiej, a bliskiej sercu pisał poeta I Dywizji — Lucjan Szenwald:

Przyjdę — każdej
spotkanej chłopce
Suchą dłoń, jak
matczyną całować,
I wieńce kłaść na
mogilne kopce,
I budować —
budować — budować

Dzieje tej wspaniałej młodości, która nie wahała się poświęcić życia, są jednym z najczystszych źródeł wiary w celowość ideowych dążeń, w sens i piękno życia opartego nie na ciasnym egoizmie, lecz ogólnoludzkich, trwałych wartościach.

Wartości te określała rewolucyjna idea Polskiej Partii Robotniczej. Ona to przewodziła Gwardzistom, wśród których przeważali członkowie PPR, jej wyznawcą był Franek

Zubrzycki wiodący w bój swój oddział z Warszawy pod nazwą Stefana Czarnieckiego, co wyrósł „nie z soli ani z roli, ale z tego co boli...”. Tych młodych bolały obozy śmierci i więzienia, przepełnione patriotami polskimi. Bardziej aniżeli zapowiedź śmierci bolała ich niewola narodu, pamięć społecznych nieprawości, a wreszcie rzucone wówczas przez „rząd londyński” hasło: „Stać z bronią u nogi”. Ich hasło brzmiało inaczej: „Zorganizować i wprowadzić w bój regularne oddziały partyzanckie!... Rozpalać wszędzie płomienie walki zbrojnej!... Nie dawać wrogowi chwili wytchnienia!...”.

Już w miesiąc po opuszczeniu stolicy, 15 czerwca 1942 r., Gwardziści niszczą pod Mościszewicami hitlerowski transport czołgów i wojska zdążające na front wschodni. Następnego dnia, pod Piotrkowem, wciągają w zasadzkę większy oddział żandarmerii i gestapowców i rozbijają go.

Hasło to powiodło do boju nowe oddziały Gwardii Ludowej, a następnie Armii Ludowej oraz tych żołnierzy z AK, którzy dość już mieli „stania z bronią u nogi”. Echo potyczek i bitew rozlegało się po lasach Lubelszczyzny i Kieleckiego, w Krakowskim, Płockiem, na Śląsku, rozgorzała gniewem odwetu Warszawa.

Rodziła się jedność narodu na gruncie idei, których wyrazicielką była Polska Partia Robotnicza.

Rok 1943 był rokiem przełomu w II wojnie światowej. Klęska wojsk hitlerowskich pod Stalingradem, wyzwolenie Zagłębia Donieckiego i oczyszczenie od nieprzyjaciela przeważającej części Ukrainy — budziły siły, które łączyło pragnienie walki o niepodległość i sprawiedliwe ukształtowanie stosunków społecznych w naszym kraju. Z nurtu tego wyrosła inicjatywa uformowania I Polskiej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Wkrótce po ogłoszeniu komunikatu rządu radzieckiego o utworzeniu na terytorium ZSRR polskiej dywizji, do dalekich Sielc nad Oką zaczęli przybywać Polacy. Rozpoczęto formowanie pierwszych regularnych oddziałów kościuszkowskich. Związek Radziecki udzielił pomocy w formie wyposażenia i uzbrojenia.

15 lipca tegoż roku Kościuszkowcy złożyli przysięgę, a 12 października pod Lenino stoczyli pierwszy bój w drodze na zachód — do Ojczyzny. Na szlaku tym i dalej aż po zdobycie wspólnymi siłami Berlina umacniało się polsko-radzieckie braterstwo broni.

9 maja 1945 r. zamilkły działa. Gwardziści i Kościuszkowcy wrócili do kraju jako zwycięzcy, by „kłaść wieńce na mogilne kopce” i — przede wszystkim — „budować, budować, budować...”.



Zdjęcia — archiwum „Nowego Świata”

DISKUSJE
i polemiki

CAMPING-sprawa pilna!

Bardzo mnie zainteresował artykuł p. Leszka Proroka w „Nowym Świecie” z dnia 4 bm. pt. „Chcemy campingów”, w którym autor rzucił projekt zorganizowania w Poznaniu stałego campingu, na wzór istniejących w innych krajach, szczególnie we Włoszech. Propozycję tę należy ze wszelkich miar poprzeć tak, że z uwagi na Wioślarskie Mięszczenie Europy, które odbędą się w sierpniu br. na Malcie. Jest rzeczą więcej niż pewną, że na regaty zjedzie do Poznania liczna rzesza entuzjastów tego sportu i to nie tylko z kraju, ale także i z zagranicy, gdzie — szczególnie w krajach Europy Zachodniej — wioślarsztwo jest bardzo popularne. Wiadomo mi np., że turyści niemieccy (NRF) zapowiedzieli już swój przyjazd własnymi środkami lokomocji. Niewątpliwie dla wszystkich nie znajdzie się miejsca w hotelach, a poza tym turyści — kibice często są ludźmi mniej zamożnymi i dla nich właśnie zorganizowanie takiego campingu (niekoniecznie ze wszystkimi takimi udogodnieniami jak sale gier itp., ale koniecznie strzeżonego i z możliwością ugotowania lub nabycia gotowego posiłku) jest bardzo wskazane.

Ze swej strony nie wskazywałbym jednak jako miejsca urządzenia campingu ani Mały ani Rusałki, jak to czyni autor cytowa-

nego artykułu. Pierwszego — z uwagi na skąpą ilość miejsca na urządzenie takiego campingu (jak wiadomo w przyszłości mieścić się tam będzie Ogrod Zoologiczny) oraz na zanieczyszczoną ściekami wodę jeziora. Drugiego natomiast — z powodu zbyt wielkiej odległości od Warty, jednego z ważniejszych szlaków turystycznych. Należy się przecież liczyć z tym, że również wodniacy będą z niego korzystać. Z przytoczonych powodów proponuję miejsce po byłej wieży spadochronowej na Łęgach Dębskich. Przemawia za tym obecność budynku Łazienek Miejskich (Admistracja campingu, restauracja, natrysk itp.) oraz dogodna komunikacja z centrum miasta. Również camping ten w przyszłości wszedłby w skład budowanego na Łęgach ośrodka wypoczynkowo rozrywkowego.

W każdym razie utworzenie campingu w Poznaniu jest sprawą niecierpiącą zwłoki z uwagi na bliski termin Mistrzostw Europy. Projekt ten przeć wstąd, jakie wymienili p. Leszek Prorok w swoim artykule poddać pod rozagę Komitetowi Organizacyjnemu Regat.

Inż. O. G. Poznań

Sztuczne serce

Przed kilkunastu dniami prasa doniosła o niezwyklej operacji, jakiej poddano małą Wandzię Nowakównę ze wschodniej Francji w klinice uniwersyteckiej w Nancy. Dziecko miało wadliwie zbudowane serce i tylko operacja mogła je uratować. Operacja ta zwróciła uwagę lekarzy z całego świata i zainteresowała szeroką opinię publiczną osiągnięciami chirurgii francuskiej.

Na czym polegała działalność aparatu, zastępującego serce i płuca?

Lekarze, podejmujący się operacji samego serca, muszą skierować obieg krwi do serca sztucznego, skąd krew — odświeżana przez sztuczne płuca, wpompowywana jest z powrotem do żył. Pod czas, gdy krew krąży w ciele pacjenta, dzięki sztucznemu sercu, lekarze przeprowadzają operację tego najważniejszego dla organizmu organu.

Prace nad budową aparatu, zastępującego serce, trwały kilkanaście lat. Rozpoczął je i doprowadził do szczęśliwego końca wielki uczony, profesor Carrel. Aparat, zastępujący serce, połączył ze sztucznymi płucami dr André Thomas. Skomplikowany aparat zaopatrzony jest w pompkę, działającą niezawodnie i bardzo regularnie, i stanowi niewątpliwie najpiękniejszą zdobycz, zarówno w dziedzinie lekarskiej, jak i technicznej.

(12)

Jak wyglądał Poznań w IX i X wieku

Wokół Katedry poznańskiej rozciąga się Ostrów Tumski. Na nim znajdował się w X wieku naszej ery, zamek książęcy i gród, otoczone potężnymi wałami kamiennodrewniano-piaskowymi. Miały one ponad 4 metry wysokości. Wai ten, pochodzący z czasów Mieszka I nie jest jednak najstarszy: w roku 1951 archeologowie odsłanili wały z pierwszej połowy X wieku oraz końca wieku IX.

Dwa lata trwały badania mające na celu określenie wielkości grodu; ostatecznie udało się to w roku 1953. Uczni wykazali, że już w wieku IX przedpoznańska osada Wielko Polan składała się z grodu i podgrodzia.

Badania rzeczy znalezionych w grodzie mówią o wielkości i potęgze grodu: oto obok oręża znajdowano prawie zawsze wyroby przemysłowe, co świadczy, iż mieszkańcy byli jednocześnie wojami i rzemieślnikami. Jakże to? — zawoła ktoś pamiętający o odrębnej klasie wojów. — To tutaj stosunki społeczne były inne? Trudno tak sądzić; uczeni poznańscy dowodzą, iż był to wynik nieustannego czuwania przed napaścią obcych. Istniała stała konieczność gotowości do obrony grodu przed niespodziewanymi najazdami obcych plemion.

„KSIĘGA ZWIERZĄT”

„Kitab al-hajawan” — „Księga zwierząt” Ab Uthamana Amr ibn Sakra al-Gahiga kupca irańskiego (żył w wieku IX, umarł w roku 869), zawiera liczne wiadomości o Słowianach. Między innymi, oprócz wymienienia nazw takich zwierząt jak krowy, konie, woły, owce, kozy, psy, gęsi, kaczki i inne, zawiera wskazówki w jaki sposób zwierzęta te służą ich właścicielom. Okazuje się, że już wówczas drużyna księcia używała koni pod wierzchołkami „wojowie byli objuczeni bro-

nią wszelaką”, a wyprawy — dalekie i długie.

W Szczecinie wykopano wyroby przedpoznańskiego grodu. W Poznaniu znów znaleziono ostrogi, garnki, statki drewniane i metalowe oraz wiele innych przedmiotów nie tylko ostatecznie gotowych, ale także w różnych stadiach produkcji. Stąd wiadomo, że mieszkańcy grodu przedkowników Mieszka I handlowali z mieszkańcami Szczecina. Ale

Przed Millenium

nie tylko handlowali: w Poznaniu znaleziono liczne narzędzia i broń wyrabianą w Szczecinie i to często w grobach, co świadczy o pobycie wojów szczecińskich w Poznaniu. Jeżeli przypomnimy sobie świadectwa pozostawione w księgach przez Greka Priskosa żyjącego w V wieku, a mówiącego o wyprawach rzymskich (obok takich wiadomości, jak np. o używaniu przez Słowian napoju z jęczmienia zwanego „kamon”) na ziemie zamieszkałe przez naszych przodków, to zdobędziemy pewność, że wykopaliska te są dowodem sojuszu słowiańskich grodów. Później, gdy Germanie doszli do szczytu potęgi i atakowali ziemie, którymi władali książęta poznańscy i szczecińscy — sojusz ten doprowadził do zjednoczenia plemion przez Mieszka I.

Co było wcześniej? Powiedzą nam o tym inne kroniki kupców, którzy w dawnych wiekach dotarli do Poznania.

TRAKTY I ICH UŻYTKOWNICY

Wzdłuż traktu na południe — do Wrocławia i Opola — rozciągały się dziedziny książąt poznańskich. Wysoko stała kultura mieszkańców tych ziem: uprawiano winorośl, pszenicę, żyto, jęczmień, proso, owoce. Hodowano — oprócz już wymienionych zwierząt — świnie domowe. O powyższym mówi nie tylko wykopaliska, ale również notatki arabskiego kupca Ibn Rosteha (żył w latach 903—943), który opisał ziemie słowiańskie.

Także inny kupiec arabski

Ibrahim Ibn Jakub podróżował w latach 960—965 po ziemach „Mszki” (czyli Mieszka I). Pozostawił on świadectwo wysokiej kultury mieszkańców tych ziem.

On to, być może, podziwiał kamienną świątynię pogańską, na której miejscu znajduje się dziś Katedra poznańska oraz otaczająca ją ośrodek kultowy słowiańskich bogów. O preromańskiej świątyni wiadomo, że powstała w X wieku, na fundamentach świątyni słowiańskich bóstw.

Zbudowali ją miejscowi rzemieślnicy z płaskich kawałków granitu zespolonych zaprawą. Mur świątyni miał ok. 1,5 metra grubości. W latach późniejszych Katedrę rozbudował syn Mieszka I — wielki Bolesław Chrobry. Resztki preromańskiej świątyni dotrwały do naszych czasów, dają świadectwo poziomu życia i pracy Polan, którzy przed 1.000 lat tworzyli państwo polskie.

Andrzej CZARSKI

W drodze na Himalaje

Jak już zapewne wiecie, wyprawa alpinistów szwajcarskich z udziałem dr. Jerzego Hajdukiewicza, znajduje się w drodze na szczyt Dhaulagiri w Himalajach.

Na zdjęciu: Uczestnicy wyprawy w Darbang: Max Eiselin, Kaspar Winterhalter, Ruedi Eiselin, dr. J. Hajdukiewicz, kierownik wyprawy Werner Stauble, Fredi Hechler, Geni Reiser i Detlef Hecker.

CAF — SHEK —
fot. Hajdukiewicz



„WYSPA
JAK
WULKAN
GORĄCA...”

Wprawdzie nie Kuba, o której śpiewa Gniatkowski, ale — sądząc po pełnym temperamencie tańcach tubylców — niemniej gorąca. Oglądamy prosię państwa ojczyznę kalypto — Trynidad, największą po Jamajce wyspę Federacji Indii Zachodnich (należy do Wysp Antylskich, leżących na Morzu Karaibskim).

Niedawno w stolicy Trynidad — Port of Spain odbyło

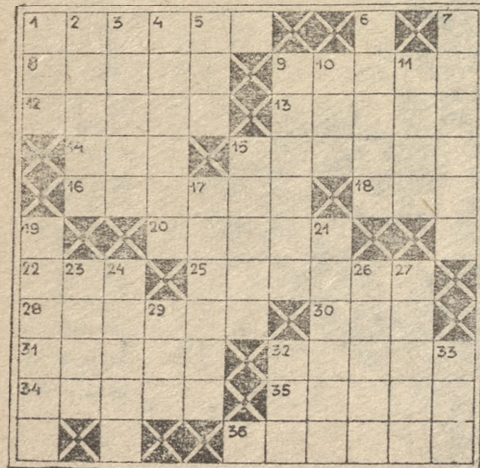


Uśmiech tancerek jest pełen wdzięku i zaletności.



Miejscowa ludność urządziła z tej okazji wspaniały festiwal tańca.

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1 — zatrudnienie, stanowisko służbowe, 8 — niestęplona, 9 — brudny ślad, 12 — hasło, 13 — dziewczyna, 14 — budynek mieszkalny, 15 — mebel wyscielany, 16 — przyrząd, urządzenie, 18 — porządek, 20 — kraina alpejska, słynna z „jodliowania”, 22 — rzeka w ZSRR, 25 — bilon, drobny pieniąż, 28 — brunatna masa, powstająca przy gotowaniu cukru, 30 — wrzątek, 31 — napis na kopercie, 22 — zawodowy znawca wina, 34 — potrójna korona papieża, 35 — stolica Grecji, 36 — miasto na Podolu, słynne z Trylogii Sienkiewicza.

PIONOWO: 1 — duchowny prawosławny, 2 — osiedle, mała wioska, 3 — sufit, sklepienie, 4 — zapach, 5 — odległość, 6 — choroba serca lub zator, 7 — zebranie, konferencja, 9 — nazwisko filozofa greckiego, słynne z określenia niezmierzłej miłości, 10 — roślina włókniasta, 11 — karta, graficzne odwzorzenie szczegółów terenu, 15 — imię męskie, 17 — weksle uprawniające do podjęcia pieniędzy, 19 — kolejne miejsce na liście zwycięzców, 21 — biblijny potomek Lewi, 23 — sędzia, duchowny mahometański, 24 — tkanina artystyczna, gobelin, 26 — grajek, muzykant, 27 — scena cyrkowa, 29 — francuski burmistrz, 32 — dawny powóz, 33 — główne pożywienie 1/3 całej ludkości.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem: „Nowy Świat”, Poznań, ul. Grunwaldzka 19, najpóźniej do dnia 15 bm (decyduje data stempla pocztowego).

Autorzy bezbłędnych rozwiązań otrzymają nagrody książkowe.

Polski saksofon
w Newportie

Poznańskim miłośnikom jazzu wiadomo już, że w słynnym amerykańskim festiwalu jazzowym w Newport wystąpi także Polak — Jan Wróblewski z krakowskiego zespołu „Jazz Believers”, który poprzednio mieszkał w naszym mieście. Wykorzystałem jego krótki pobyt w Poznaniu, aby dowiedzieć się kilku ciekawszych szczegółów o orkiestrze „Babel Band”, w której ma występować.

— Będzie to zespół specjalnie utworzony na festiwal w Newport — mówi p. Wróblewski. — Składać się on będzie z 14 muzyków różnych narodowości.

Górna granica wieku wynosi 25 lat.

— Czy będzie to orkiestra swingowa?

— Grać będziemy stylem pośrednim między swingiem a progresywnym jazzem. Coś pośredniego między zespołem Count Basiego a Woody Hermana.

— Kto obejmie kierownictwo zespołu?

— Znany kompozytor amerykański Marshall Brown, twórca zespołu „Farmingdale Band”, znanego z sukcesu, jaki odniósł na zeszłorocznym festiwalu w Newport.

— Czy jeszcze inni znani muzycy będą współpracować z „Babel Band”?

— Tak, i to jeszcze jacy! Specjalne kompozycje dla zespołu napisali znakomitości tej miary jak Bill Russo, John La Porta i Jimmy Giuffrè.

— Który ze znanych polskiej publiczności zagranicznych muzyków wystąpi w tym zespole?

— Z naszych znajomych — słynny puzonista Albert Mangelsdorff (znany z Sopotu) oraz puzonista Zdenek Pulec z czeskiego zespołu Karel Krautgartnera.

— Kiedy nastąpi wyjazd?

— W czerwcu. Pierwsze próby odbędą się na okręcie. Festiwal rozpoczyna się 3 lipca i potrwa cztery dni.

— Jakie są pofestiwalowe plany zespołu?

— Objazd po całych Stanach, nagrania płytowe, występy w radio i telewizji. Ze Stanów udajemy się na tournée po Europie.

— Czy w Polsce „Babel Band” wystąpi również?

— Prawdopodobnie.

— A zatem — do zobaczenia na koncercie „Babel Band” w Poznaniu.

Rozmawiał: J. Kozłowski



Oryginalne tańce ludowe to — jak widać — przyjemność nie tylko dla patrzących, ale również dla samych wykonawców.

się uroczyste otwarcie pierwszego parlamentu, którego w imieniu królowej angielskiej dokonała księżniczka Małgorzata.



Księżniczka Małgorzata (panie — zwróćcie uwagę na modną „sukienkę-balonik”) rozmawia właśnie z burmistrzem Port of Spain. Fot. (4) CAF



Bez słów

Czy wiecie, że...

...muchy mają nadzwyczaj dobrze rozwinięty zmysł smaku? Jest on 20 razy czulszy niż u ludzi.

...w Nilu żyje ponad 8000 gatunków ryb?

...jajo pszczoły waży około 0,15 miligramów i że królowa pszczoły znosi mniej więcej 20 milionów jaj w roku?

...ilość oddychów u człowieka wynosi 16-20 na minutę a u myszy aż 200?

...golań rozróżnia 160 odcieni kolorów a człowiek 160?

...para małżeńska moli, które są najbardziej rozmnażającymi się stworzeniami na ziemi, może w jednym roku wydać na świat 625 milionów następców? (t. cz.)



Cezary Dankowski, Andrzej Kurylewicz, Jan Wróblewski

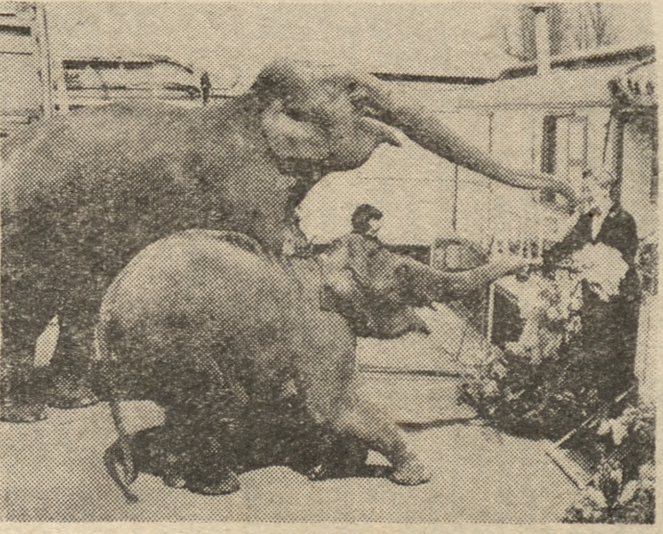
ALFABET
HISTORIA
dekawoski

KOBYLIN — XVII wieku. Urząd burmistrzowski bardzo pilnował, aby mieszkańcy żyli w cnotcie, wszelcy rozpustnicy byli surowo karani.

W r. 1665 za grzech cudzołóstwa Michał Sifler, strycharz, dostał 100 batów i został z miasta wypędzony na zawsze. A gdyby pokazał się w obrębie 7 mil od Kobylina, miał być schwytany i oddany pod katowski miecz. Jego dziewczynę też wygnano z miasta. Gdyby zaś się pokazała, kat pod przegierzem miał jej obciąć nos i uszy.

W r. 1673 służąca młynarza sławetnego Diugoleckiego na stopniach przegierza skosztowała 50 róż, a służąca niejakięgo Mateusza Rycerza — 30 róż. Obie wypędzono na 7 mil i... 7 lat za grzeszne stosunki cielesne.

Tak karano służące. Majstro we i zony cechmistrzów czekała o wiele łaskawsza kara: leżenie krzyżem w kościele.



Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin życzą właściciele słynnego cyrku „Krone” — pani Fridzie jej dwaj ulubieńcy „Loni” i „Assan” Ten wdzięczny „dys”, i bukiety, trzymamy w trąbie zastąpić mają słowa. CAF

Dwa
spotkania
z policją

Najwięcej jednak szumu i kłopotu sprawiła zguba, która dostała się w ręce pani Piotrowej. Było akurat w czasie żniw w 1658 r. Idąc do gospody po męża znalazła woreczek, w którym o zgrozo — ujrzała ludzki palec. Znany ówczesny przesąd głosił, iż złodziej posiadający palec właściciela, — może uprawiać swój zawód bezkarnie — stając się niewidzialnym.

Pani Piotrowa, kobieta uczciwa — oddała palec wiadom.

Na rynku zapłonął stos, na którym spalono ów palec. Przy tej okazji burmistrz zapowiedział, iż ktokolwiek będzie tak kiego „maskotka” nosił, także zginie w płomieniu.

I jeszcze recepta na niewygodnego męża, którą przed kilku laty znalazł w aktach znany szperacz historyczny, Józef Łukasiewicz. Aby swego męża się pozbyć, trzeba mu pod poduszkę położyć łopatę bez oprawy, ale taką, którą grabarz wykopął co najmniej kilkanaście grobów. Inna bowiem nie skutkuje.

J. P.

okres czasu, jako znak poddaństwa... mężowi.

nerwowych, szparagi zaś wzmacniają, ponoć, poczucie odpowiedzialności.

skiego studenta. Zawiera on 79 stron w ogólnej ilości 10.000 słów.

Reklama

Dyrekcja pewnego warietę w Londynie ogłosiła konkurs na najlepszy tekst reklamowy programu. Następujący tekst został nagrodzony: „Sto uroczych tancerek — pięćdziesiąt pięknych kostiumów”.

Melancholicy —
jedźcie marchewkę!

Dawno już wiadomo, że jarzyny i owoce są bardzo ważnym pożywieniem. Niedawno profesor Laroche z Paryża — przeprowadzał doświadczenia, badając ich właściwości i doszedł do ciekawych wyników: młoda salata robi człowieka muzykalnym, gruszkę powodują logiczne myślenie, marchew i szpinak jest środkiem przeciwnym melancholii, ziemniaki mają wpływ dodatni na ludzi

Mądry jak osioł

Jak wynika z doświadczeń włoskich uczonych, słowo „głupi osioł” powinno wkrótce zniknąć z naszych słowników. — Swego czasu poddano próbom inteligencji konie i osły. Okazało się, że osły dużo lepiej i szybciej rozwiązywały wszystkie „problemy”.

Listy z amorkiem

Najstarszy list miłosny znaleziono, badając wykopaliska w Chaldei. Pochodzi on — jak stwierdzono — z roku 2.200 przed naszą erą. Pan Gimis z Babilonu błaga w tym liście pannę Dasbua o zgodę na małżeństwo. List jest z kamienia i waży 16 kg.

Najdłuższy zaś list miłosny otrzymała pewna francuska artystka filmowa od amerykań-

Jacy jesteście?

Jak dowodzi nauka — nasze ramiona nie są równe. Badania 1.700 młodych osób wykazały, że tylko 13 z nich miało ramiona jednakowej długości. U wszystkich pozostałych okazało się, że prawe ramię — oprócz tego, że jest dłuższe, jest także grubsze. Poza tym prawą dłoń ma większą powierzchnię niż lewą.

Dobrymi radami
pieknie brukowane

Dobrej rady udzieliła ciekawym sekretu jej długowieczności pani Thyrza Baker, zamieszkała w Morrison (Colorado), która ostatnio w czystym zdrowiu przekroczyła 100 lat życia: „Radzę wam unikać śmierci”.

(T. Cz.)

Amatorzy filmów sensacyjno-kryminalnych pobiegą niewątpliwie na oba obrazy tego typu wyświetlane obecnie w kinach poznańskich: „Kto zabił” H. Cluzota i „Niezwyczajny świadek”. We wtorek obejrza jeden, w czwartek drugi, w piątek zaś będą zastanawiali się usilnie: podobne czy nie? Tu trup i tam trup. Tu tajniak-komisarz i tam tajniak-komisarz. Jak w każdym uzorowanym kryminalu morderca jest zupełnie kto inny niż my śleliśmy od początku. Zastanawiają się jeszcze dokładniej i odpowiadają: jednak filmy mimo wszystko są niepodobne. Intryga „Niezwyczajnego świadka” zawiązana jest na supełek niewątpliwie bardziej precyzyjnie. Jesteśmy przekonani o winie młodego Michela i... mamy dość wielką sympatię za postacią etycznie-moralną. Wiemy — on jest mordercą — i nie chcemy temu wierzyć. Oryginalne wykorzystanie magnetofonu jako głównego rekwizytu, fascynujące stopniowanie napięcia do ostatniego momentu, aby rzecz całą zakończyć happy-endem robią z filmu niewątpliwie dobry kryminał i... tylko kryminał.

Tymczasem w „Kto zabił?” nie mamy pewności kto, a przez pierwsze 40 minut filmu nawet nie wiemy kogo, ale... Owe „ale” to Cluzot. Świetny reżyser potraktował kryminalną osnowę jako tło, na którym rysując sylwetki swoich bohaterów zbudował świetny dramat psychologiczny.

Radzimy więc oglądać oba filmy jeden po drugim i przekonać się, że kryminał, a kryminał — to wbrew pozorom wielka różnica. (baj)